

nieszczęśliwy? Ale taka jest wojna, mówi Danijel, kula nie wybiera, kogo dosięgnie, granitowa kostka też.

Danijel opowiada, że zaraz po tym, gdy powstał świat, wśród ludzi zapanowało duże poruszenie. Była jesień, lato już minęło, wszędzie tylko listopad, listopad i jeszcze raz listopad z chmurami, które opadły na dachy domów i tkwiły tam nieruchomo z brzuchami pełnymi wody. Pod wieczór, może zresztą było dopiero popołudnie, bo jesienną porą w naszych stronach ściemnia się wcześniej, Danijel usłyszał szorstkie głosy mężczyzn, krzyki kobiet, tupot kroków na chodniku przed domem, odgłos zapalnego motoru.

Leżał w łóżku, czytał *Ogniem i mieczem*. Był Janem Skrzetuskim i pędził po stepie, wysokie trawy, wycie wiatru, z tyłu dudnił tętent końskich kopyt pod ciężkimi huzarami w lśniących zbrojach, przed oczami miał twarz kniaziówny Heleny, jej delikatne liczko okolone jasnymi włosami, a w piersiach wściekłość i gniew na myśl o szlachetnym dziewczęciu w rękach nikczemnego Kozaka Bohuna, który połasczy się na jej bujne ciało. W oddali unióśł się tuman kurzu, z odsieczą przybywał oddział przyjaciela, pana Wołodyjowskiego – gnał na czele lekkiej jazdy, polskich dragonów, razem uratują lubą kniaziównę, której pozostało wierne zranione serce Jana, tak jak jemu było wierne uwięzione drżące serce Heleny.

Długo nie mogłem się zdecydować, mówi Danijel, czy mam być Janem Skrzetuskim, czy Michałem, panem Wołodyjowskim, odważnym małym rycerzem, który nie miał sobie równych we władaniu szablą, potem jednak z ciężkim sercem podjąłem decyzję: mimo wszystko wolę być Janem Skrzetuskim, choć trudno wymówić jego nazwisko, ale był to człowiek honoru, odwagi i wierności, tak jak ja – Danijel.

Tętent końskich kopyt przeszedł w stukot ciężkich butów na płytach chodnika, a raczej w odgłos przypominający chlupotanie. Danijel podszedł do okna, zobaczył ludzi, którzy w biegu rozbryzgiwali mokrą breję pierwszego śniegu leżącego na ulicy, biegli na podwórko. Zostawił Jana

Skrzetuskiego, niech dalej pędzi po stepie, prawdę mówiąc, zostawił go, żeby się zatrzymał, konie muszą odpocząć, poczeka, aż Danijel wróci do łóżka.

Kiedy wszedł do kuchni, przy oknie zobaczył mamę, odsunęła zasłonkę i wyglądała na podwórko.

– Na dole mają jakiś *dżumbus*²⁴ – wyjaśniła.

Powiedziała to jakby z zadowoleniem, bo słowa tego używała zazwyczaj, gdy mówiła o tym, co się działo u nich w domu, kiedy ojciec wracał nocą z Korotana albo nawet z restauracji Miejskiej. Kiedy wracał z Miejskiej, *dżumbus* był jeszcze większy, wtedy – tak twierdziła mama następnego dnia – zdarzał się *elend*, bo przychodzili z nim jego przyjaciele – tak twierdzili sami – pierwsi bojownicy i junacy, a potem robili *dżumbus* do rana, bardzo dużo mieli sobie do powiedzenia. Zaczynało się od przechwalania, poklepywania po ramionach i ściskania, dalej było coraz gorzej, na ostatku kłócili się o to, kto się bał Niemców, kto się ukrywał, a kto nie. Więc w końcu zawsze robił się prawdziwy *elend*. *Elend* to wyższy, najwyższy stopień *dżumbusu*. Wczoraj w nocy znowu mieliśmy *elend*, czasem, właściwie dość często, mówiła mama, czy to się nigdy nie skończy?

Z Korotana, gdzie przesiadywał z Pepim, który nie był partyzantem i junakiem, przychodził sam, *dżumbus* był wtedy mniejszy.

Ale dzisiaj, przynajmniej jeśli chodzi o tatę Danijela, *dżumbusu* nie będzie, tata jest chory, ma zwolnienie lekarskie, ostatnio sam przesiaduje w Korotanie z kieliszkiem wina i kulą zawieszoną na poręczy sąsiedniego krzesła. Dawniej *dżumbus* zdarzał się raz na miesiąc, zawsze pierwszego dnia miesiąca. Bo wtedy w fabryce samochodów dostawali wypłatę, przyjaciele, partyzanci i junacy czekali na ojca przed bramą o drugiej, kiedy kończył pracę. Szli do pobliskiego baru, a potem, jeśli wszystko potoczyło się szczęśliwie, wracał do domu i nie było zbyt dużo *dżumbusu*. Jeśli natomiast ułożyło

24 Z tureckiego zamęt, zamieszanie.

się pechowo, wędrowali stamtąd do Miejskiej, gdzie było jeszcze więcej partyzantów i jeszcze więcej junaków, i wtedy kończyło się *elendem*. Najgorszy i najdłuższy *elend* przytrafił się któregoś lata i trwał od soboty do poniedziałku, od pierwszego do trzeciego. Grupka partyzantów i junaków kilka razy opuściła posterunek ulokowany w naszym mieszkaniu i w ciągu dnia udała się do gospody, nocą zaś odwiedziła placówki w innych domach, by znowu powrócić na pierwszą pozycję. W języku naszych stron nazywa się to długim rejsem.

Teraz jednak *dżumbus* był gdzie indziej, chwała Bogu.

Na dole mają jakiś *dżumbus*, powiedziała mama, przez taką kobietę. Pierwszy raz tak się o niej wyraziła, mówi Danijel. Dlaczego Lena została taką kobietą? Krzyki, odpalanie i wyłączanie motoru, urywane męskie głosy, coraz więcej głosów z podwórka. W jednym z mieszkań wściekle ujadł pies. Jeśli szczeka pies, gdzieś w pobliżu na pewno jest ten człowiek, Ljubo–Gvido. Coś ścisnęło mnie za serce, mówi Danijel: chyba nie przez Lenę? Chyba mama nie nazywa Leny taką kobietą? O Lenie nie można powiedzieć, że jest taką kobietą, wciąż chodzi do pracy, po południu przesiaduje w domu, a w niedzielę wystrojona idzie do kościoła.

Była sama i samotna, a potem pojawił się Pepi, wciąż mieszkają razem. A jeszcze potem pojawił się ktoś inny. To jednak wcale nie znaczy, że jest taką kobietą.

Danijel zbiegł po schodach na podwórko, już w drzwiach sieni ujrzał nocną scenę. Troje ludzi szarpało się przy motocyklu marki Puch, rozpoznał go od razu, duża maszyna, taka z dwoma siedzeniami. Na tylnym siedziała Lena. Mężczyzna w rozpiętej skórzanej kurtce siedział z przodu i naciskał nogą pedał gazu, ale silnik za nic nie chciał się uruchomić. Zapłon nie działał, silnik kichał, Ljubo albo Gvido czy jak tam miał na imię, wściekał się, wielki Pepi Patagończyk stał koło motoru i obiema rękoma obejmował swoją Lencę wokół pasa, chciał ją ściągnąć z siedzenia. A jego Lena obiema rękoma kurczowo ścisnęła motocyklistę Gvida albo Ljuba czy jak tam

miał na imię. Pepi trzymał Lenę w żelaznym uścisku, silnik kichał i nie chciał zapalić. Scena byłaby śmieszna, gdyby nie wyglądała też nieco dramatycznie. Nieco dramatycznie, bo motocyklista Gvido okropnie przeklinał. Nie było wiadomo, na kogo wkurza się bardziej, na motor, który nie chce zapalić, czy na Pepiego, który chce mu ściągnąć kobietę z tylnego siedzenia. Świńskie żarty Malčka wobec słów, które ten człowiek, ten motocyklista w skórzanej kurtce wyrzucał z siebie z wrzaskiem i wściekłym sykiem, były wręcz niewinne: Ożeż ty, kurwa twoja mać! Chuj ci w dupę! Co wspólnego ma z tym biedna mama Pepiego, czemu jest winna?

Bardzo dziwnie brzmiały dla mnie te złorzeczenia, mówi Danijel, mój tata nigdy podobnie nie przeklinał, przynajmniej ja nigdy tego nie słyszałem, nawet kiedy był *džumbus* lub co gorsza *elend*. Z wojska, w którym służył w Serbii jeszcze przed wojną, przywiózł dwa przekleństwa, obu używał wymiennie i oba miały, też nie rozumiem dlaczego, związek ze słońcem: słońce ci w dupę i słońce twoja mać. Kiedy nadchodził *džumbus*, wydierał się na mamę, sąsiada albo nawet na mnie: Słońce ci w dupę! A gdy w nocy zanosilo się na *elend*, zwykle zaczynał od słoweńskich obelg, darł się wtedy na kogoś z przyjaciół partyzantów i junaków: Chyba cię Bóg opuścił. Nie była to na dobrą sprawę obelga, ale coś w rodzaju stwierdzenia. Chyba cię Bóg opuścił nie miało nic wspólnego z Bogiem, którego imię nie śmiało pojawić się w towarzystwie członków Związku Bojowników, było to tylko ostrzeżenie, oznaczało, że lada chwila zacznie się kłótnia: Chyba cię Bóg opuścił. Potem szło: A niech to wszyscy diabli. Kiedy temperatura dyskusji rosła, przychodziła kolej na słońce: słońce twoja mać. To był znak, że robi się niebezpiecznie. Słońce twoja mać, będziesz mi tu w żywe oczy kłamał, że byłeś w konspiracji. Jaka konspiracja, słońce twoja mać, z babą figlowałeś, kiedy nas bili w gestapowskich więzieniach.

Innych przekleństw nie używał, był spokojnym człowiekiem, a gdy zachorował, zachowywał się jeszcze spokojniej.